

JOHN GRISHAM

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

Ona potrzebuje
prawnika.

On potrzebuje
pieniędzy.

WDOWA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE WIDOW

Copyright © Belfry Holdings, Inc. 2025
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2026
Polish translation copyright © Jan Kraśko 2026
All rights reserved

Redakcja: Marzena Wasilewska

Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Ilustracja na okładce: © Jacinta Bernard/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



**WYDAWNICTWO
ALBATROS**

Rozdział 1

Klienci korzystający z usług małej, urokliwej kancelarii adwokackiej na rogu Main i Maple Street znosili tam problemy, którymi Simon był już zmęczony. Bankructwa, zarzuty prowadzenia po pijanemu, zaległe alimenty, egzekucje komornicze, drobne stłuczki samochodowe, podejrzanе poślizgnięcia i upadki, wątpliwe roszczenia z tytułu niepełnosprawności... chleb powszedni przeciętnego, mało-miasteczkowego adwokata, którego marzenia o bogactwie – te z czasów studiów – wyblakły do tego stopnia, że niemal całkowicie zniknęły. Osiemnaście lat harówki i Simon F. Latch, adwokat i radca prawny, zaczynał się powoli wypalać. Problemy innych ludzi po prostu go nużyły.

Jedyna odmiana w tej jakże bolesnej monotonii pojawiała się tylko wtedy, kiedy któryś z jego podstarzałych klientów potrzebował pomocy w dopięciu spraw spadkowych, na przykład aktualizacji ostatniej woli i testamentu. Niemal zawsze były to jednak kwestie beznadziejnie proste, takie, z którymi poradziłby sobie każdy student pierwszego roku prawa, niezależnie od tego, jak złowieszczo Simon starał się je przedstawiać. Za jedyne dwieście pięćdziesiąt dolarów mógł napisać – a raczej, jak wołał mawiać, „sporządzić” – prosty trzystronicowy testament, wydrukować go na grubym, złocistym papierze, dać do poświadczenia swojemu „personelowi

prawniczemu” i stworzyć wrażenie, że klient „dokonuje” właśnie czegoś doniosłego.

Tymczasem prawda była taka, że połowa z tych klientów w ogóle nie potrzebowała testamentu, nawet najprostszego, chociaż w całej historii amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości żaden adwokat nie powiedział tego żadnemu klientowi; na pewno nie wspomniał też, że dwieście pięćdziesiąt dolarów za godzinę to czyste zdzierstwo, bo w internecie roi się od darmowych – równie wiążących – testamentów. Prawdą było również to, że mecenas Latch rzadko zwracał sobie jakimś głowę. Wszystko załatwiała Matilda, jego sekretarka: wypełniała stosowne formularze i drukowała niezbędne dokumenty.

Jego obecną klientką była pani Eleanor Barnett, lat osiemdziesiąt pięć, wdowa mieszkająca samotnie w skromnym domu na przedmieściach, który nabyła przed dziesięciu laty ze swoim nieżyjącym już drugim mężem. Nie miała dzieci, chociaż Harry Korsak, jej ostatni mąż, miał dwóch synów z pierwszego – nieudanego – małżeństwa i przez wiele lat próbował namówić Eleanor, ukochaną drugą żonę, by zechciała ich adoptować, i to z wielu różnych powodów, z których jednak żaden jej nie przekonał, ponieważ – jak zwierzyła się Matildzie podczas ich drugiej, bardzo długiej pogawędki telefonicznej – po prostu ich nie znosiła. Uważała, że są aroganckimi nicponiami.

– Czy dom jest obciążony hipoteką? – zapytała Matilda, delikatnie przerywając coś, co groziło rozwleklą opowieścią o dwóch pożalowania godnych pasierbach.

Nie. Dom był całkowicie spłacony, samochód też. I nie, wdowa nie miała żadnych długów. Harry Korsak był człowiekiem niezwykle oszczędnym – wie pani, jak to dziecko rodziców z czasów Wielkiego Kryzysu – i po prostu nie lubił się zadłużać. Między pierwszą a drugą rozmową telefoniczną Matilda jak zwykle przeprowadziła małe śledztwo internetowe i dowiedziała się, że dom, wyceniony przez hrabstwo

na dwieście osiemdziesiąt tysięcy dolarów, rzeczywiście jest wolny od obciążeń, podobnie jak samochód, piętnastoletni Lincoln. Kopiać nieco głębiej, znalazła kartotekę policyjną Clyde'a Korsaka, starszego niezaadoptowanego pasierba. Okazało się, że kilkadziesiąt lat temu przyłapano go na handlu kokainą i spędził cztery lata w więzieniu.

Pani Barnett nie chciała omawiać przez telefon dalszych kwestii finansowych i oświadczyła, że woli poczekać na osobiste spotkanie z mecenasem Latchem. Przyszła punktualnie o drugiej, ubrana jak zamożna starsza pani wybierająca się do kościoła. Przez kancelarię przewinęły się setki kobiet takich jak ona i Matilda natychmiast ją oceniła, nalewając kawę do filiżanki z delikatnej porcelany, którą trzymała specjalnie dla starszych klientek; większość dostawała papierowe kubki. Pani Barnett poruszała się całkiem sprawnie. Nie chwiała się, nie zataczała, chodziła pewnie i bez laski. Usiadła skromnie na krześle w recepcji i piła kawę z uniesionym małym palcem, co było wyraźną oznaką albo dobrych manier, albo nuty snobizmu. Robiła wrażenie osoby w dobrej kondycji fizycznej, która pociągnie jeszcze dziesięć lat, zanim nadejdzie czas na otwarcie jej nowego testamentu.

Po kilku minutach Matilda oznajmiła, że mecenas Latch zakończył już „telekonferencję sądową” i zaprasza ją do siebie, po czym zaprowadziła wdowę krótkim korytarzem do sali konferencyjnej, pomieszczenia o ciemnych ścianach przesłoniętych grubymi księgami prawniczymi, których mecenas nie dotykał od lat.

Simon zamierzał pozbyć się nowej klientki w ciągu trzydziestu minut. Dorzucić do tego kolejne trzydzieści w przyszłym tygodniu, gdy testament zostanie oficjalnie podpisany, i wyrobi – przynajmniej teoretycznie – swoją zwykłą stawkę, czyli dwieście pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Jego dobry znajomy ze studiów, pracujący teraz w waszyngtońskiej kancelarii podatkowej, zarabiał cztery razy więcej, ale Simon starał się nie myśleć o takich rzeczach. Z biegiem lat prawie

udało mu się wmówić sobie, że jakość życia w małym miasteczku Braxton w stanie Wirginia jest dużo lepsza, i pal diabli pieniądze.

Włączył swój urok osobisty, jak zawsze w kontaktach ze starszymi paniami, i natychmiast spostrzegł, że pani Barnett jest nim oczarowana.

– Piękny naszyjnik – zauważył przymilnie.

Wdowa uśmiechnęła się, ukazując komplet własnych, choć nieco żółtawych zębów.

– Och, dziękuję!

– Z moich notatek wynika, że jest pani wdową, mieszka pani sama i nie ma dzieci ani wnuków. Miała pani dwóch mężów, obaj już nie żyją... – Przebiegł wzrokiem raport Matildy, jakby czytał Magna Cartę. – I po ślubie z panem Korsakiem – dodał – zachowała pani nazwisko Barnett.

– Niezupełnie. Wróciłam do tego nazwiska dopiero po śmierci Harry’ego. Tak naprawdę nigdy nie przepadałam za nazwiskiem mojego drugiego męża. Między nami mówiąc, Vince Barnett podobał mi się dużo bardziej niż Harry Korsak. Zakochaliśmy się w sobie już w dzieciństwie, razem dorastaliśmy i młodo się pobraliśmy. Byliśmy wtedy bardziej... romantycznie aktywni. Chyba wie pan, co mam na myśli...

Simon doskonale wiedział i nie miał najmniejszej ochoty się w to zagłębiać.

– Czy ma pani aktualny testament?

– Testamenty nie tracą ważności, prawda?

– Nie, nie tracą.

– Tak, ale mam co do niego wątpliwości. Chciałabym sporządzić nowy i zatrudnić pana jako mojego adwokata także do innych spraw. Na stałej umowie.

– Do innych spraw? Czyli jakich?

– Cóż, nigdy nie wiadomo, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Tylu jest teraz różnych oszustów i naciągaczy. A starsi ludzie są ich ulubionym celem. To okropne, ilu z nas wszystko traci. Dlatego chciałam zapewnić sobie ochronę

i zatrudnić pana na stałe. Moja przyjaciółka Doris też ma takiego adwokata.

Simon nie potrafił – przynajmniej w tej chwili – wyobrazić sobie niczego gorszego niż bycie na każde skinienie starszej klientki, która wszędzie węszy oszustwo. Ale cóż, skoro należała, za tysiąc dolarów mógłby na to pójść. To byłby uczciwy układ.

– Ile pani przyjaciółka mu płaci?

– Och, niewiele. Mówi, że można znaleźć całkiem tanich.

Wziął głęboki oddech i próbował skierować rozmowę na właściwe tory.

– Wróćmy do pani testamentu. Muszę zapoznać się z tym aktualnym, to bardzo ważne.

– Tak, wiem. Pani Matilda wspominała o tym przez telefon, ale zapomniałam go zabrać. Ostatnio coraz częściej zapominam o różnych rzeczach.

Pasuje, pomyślał. Jeśli ma się ponad osiemdziesiąt lat, kilku klepek zwykle brakuje. Postanowił, że po rozmowie naradzi się z sekretarką i zdecyduje, czy pani Barnett ma wystarczającą zdolność umysłową, by w pełni rozumieć, co robi. Pierwsze wrażenie było jednak dobre, a za dwieście pięćdziesiąt dolarów był gotów zbytnio się tym nie przejmować.

– Czy mogłaby pani podrzucić mi go w ciągu najbliższych kilku dni?

– Tak, bez problemu. Przepraszam, że sprawiam kłopot.

– Nic nie szkodzi. Musimy też porozmawiać o pani aktywach i zobowiązaniach...

– Nie mam żadnych zobowiązań. Ani centa długów. Harry, mój zmarły mąż, gardził długami. Nie korzystał nawet z karty kredytowej. Zawsze żyliśmy na czysto, bez żadnych obciążeń.

Cudownie to zabrzmiało. Simon mógł jedynie pomarzyć o dniu, w którym wygrzebie się z długów.

– Godne podziwu – powiedział z nabožnością, jakby wdowa potrzebowała jego błogosławieństwa. Wszystko, co

miał, było mocno obciążone hipoteką.

– Ale po jego śmierci jedną sobie wyrobiłam. Vişę.

Simon zanotował coś bez sensu i spytał:

– Dobrze, a aktywa? Czy jest pani pełnoprawną właścicielką domu? – Wiedział, że tak, ale większość starszych klientów lubiła chwalić się zgromadzonymi dobrami. Byli dumni ze swojego oszczędnego stylu życia i z tego, że po dziesiętkach lat zaciskania pasa są finansowo zabezpieczeni.

– Tak, oczywiście.

– Zna pani jego aktualną cenę rynkową?

– Nie za bardzo, ale hrabstwo wyceniło go chyba na dwieście osiemdziesiąt tysięcy. Coś koło tego.

– Tak, to by się zgadzało. Dom jest zwykle największym składnikiem masy spadkowej...

– Ale nie w moim przypadku – przerwała mu szorstko, jakby lekko urażona.

Wciąż coś notując, Simon wychwycił pierwszy sygnał, że ten prosty testament wcale może nie być taki prosty.

– Posiada pani inne nieruchomości? Dom letniskowy? Dom na wynajem?

– Nie, nie, Harry nie lubił nieruchomości. Mówił, że to za duży kłopot.

Jezu, więc co, do licha, ten Harry lubił?

– Rozumiem. Czy ma pani inne inwestycje?

Wdowa wzięła głęboki oddech i zrobiła zaniepokojoną minę.

– Mogę panu zaufać, prawda?

– Oczywiście. Jestem adwokatem i mam obowiązek zachować wszystko w tajemnicy. – Simona lekko ścisnęło w brzuchu, bo wyczuł, że zaraz pozna kilka cudownych i zupełnie nieoczekiwanych faktów. Owszem, jako pseudospecjalista od spraw spadkowych w ciągu osiemnastu lat pracy miał kilka niespodzianek, lecz żadna nie była zbyt duża.

– Panie mecenasie, otóż...

– Simon. Proszę mi mówić po imieniu.

– Simon. Jakie ładne imię. Widzi pan, Harry pracował prawie czterdzieści lat jako regionalny przedstawiciel handlowy Coca-Coli. Myślę, że właśnie to go zabiło. Podniosło mu się stężenie cukru we krwi, dostał udaru w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat i już nigdy nie wrócił do zdrowia. Zawsze mieliśmy w lodówce mnóstwo Coli, tej prawdziwej, nie dietetycznej, i pił jej stanowczo za dużo, przynajmniej moim zdaniem. Tak czy inaczej, kwalifikował się do zakupu akcji, co prawda tylko kilku naraz, ale kupował każdą, jaka tylko wpadła mu w ręce. Ani jednej nigdy nie sprzedał, po prostu cieszył się, widząc, jak ich przybywa. A przybywało ich sporo. Potem, jakieś trzydzieści lat temu, zaczął sprzedawać produkty Coca-Coli do Walmartu i ta firma go zafascynowała, bo sprzedawała ogromne ilości różnych napojów. Zaczął kupować akcje Walmartu i też ani jednej nigdy nie sprzedał. Tuż przed śmiercią zastanawiał się, co zrobić z całym tym portfelem. Nie chciał zostawić go synom, bo byli niezdolni. I nadal są. À propos jego synów: oni nic o tych akcjach nie wiedzą. Harry nigdy im o nich nie wspomniał, nie powiedział nikomu oprócz mnie. Żyliśmy spokojnie w naszym skromnym domku i nikt nie miał pojęcia, że jesteśmy wari miliony. Bardzo go to bawiło.

Miliony? Simon nadal pisał coś w żółtym notesie, lecz jego pismo, nieczytelne nawet dobrego dnia, szybko zmieniło się w abstrakcyjne bazgroły. Nie pamiętał ani jednego testamentu, który sporządziliby dla kogoś wartego milion dolarów, i to nie licząc nieruchomości.

Zachował surową, adwokacką minę, jakby wcale nim to nie wstrząsnęło.

– I co... Hm, i co zrobił z tymi akcjami?

– Zostawił mi je razem ze wszystkim innym. Jak to się nazywa...? Podatkowa ulga małżeńska?

– Tak. Majątek pozostawiony współmałżonkowi jest wolny od podatku spadkowego. Pani mąż musiał być mądrym człowiekiem.

– To zabawne, bo nigdy nie uważał się za mądrego. Był bardzo skromny, ciężko pracował, nie zaciągał długów, oszczędzał, kupował akcje, a potem wszystko zostawił mnie. Chciał też pomóc jakoś synom i naprawdę próbował wszystkiego. Ale gdyby wiedzieli o tych akcjach, doprowadziliby go do obłądu. Więc nic im nie powiedział. A potem wziął i umarł.

Klienci, którzy chcieli spisać zwykły testament, rzadko używali określeń takich jak „portfel akcji” czy „podatkowa ulga małżeńska”. Radar Simona przeszedł na wyższą częstotliwość.

– Jaka jest wartość tego portfela?

Wdowa zasłoniła ręką usta, jakby nie chciała odpowiedzieć. Potem potarła oczy i zrobiła wystraszoną minę. Wreszcie ściszyła głos i spytała:

– Nasza rozmowa jest ściśle poufna, prawda?

– Tak, już to ustaliliśmy. Jeśli mam sporządzić wiążący testament, muszę wiedzieć, co wchodzi w skład majątku. Zwykły testament może się okazać niewystarczający. – Simon niemal czuł, jak nowy dokument z każdą sekundą pęcznieje. I jak wraz z nim pęcznieje jego portfel, bo myślał już o pięciu tysiącach dolarów za stałe zlecenie.

– Gdyby ludzie tylko wiedzieli... Moi znajomi, synowie Harry’ego... Nikt o tym nie wie.

Simon posłał jej uspokajający uśmiech z cyklu: „Ale mnie może pani powiedzieć wszystko”.

– Te ściany są ze stali, szanowna pani. Nic się przez nie nie przebije. Etyka zawodowa nakazuje mi zachować wszystkie pani tajemnice.

Pokrzepiona tym wdowa lekko zacisnęła zęby.

– W zeszłym tygodniu moje akcje były warte nieco ponad szesnaście milionów dolarów. Ale to się waha... wie pan, raz idzie w górę, raz w dół, jak to na rynku.

Zapisał tę kwotę z kamienną twarzą, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego.

Wdowa nachyliła się w jego stronę.

– To dużo, prawda? – spytała.

– Owszem.

– Czy to... nietypowe?

– Powiedziałbym, że tak. Rzadko kiedy mam klientów z tak dużym majątkiem.

Rzadko kiedy? Może raczej nigdy?

– I co ja mam z tym zrobić?

Ach, te pytania. Te sugestie.

– Hm, no cóż... Jaka część majątku jest ulokowana w akcjach Coca-Coli?

– Około dziesięciu milionów. I około sześciu milionów w Walmarcie.

– A dywidendy?

– Jak pan zapewne wie, Walmart marnie płaci, kilka centów od akcji. Ale Coca-Cola to co innego. Płaci cztery procent rocznie, od zawsze.

– Cztery procent od dziesięciu milionów?

– Tak, mniej więcej. W sumie wypada ponad czterysta tysięcy rocznie. I ciągle tego przybywa. Nie wiem, co z tym zrobić. Może mi pan pomóc?

– Na pewno coś wymyślimy, ale uprzedzam, że to nie będzie zwykły testament, pani Barnett. Jego przygotowanie zajmie trochę czasu.

– Proszę mi mówić po imieniu. Netty, dobrze? To mój stary przydomek, ale zna go tylko kilka osób. Skoro pan jest Simonem, to ja będę Netty.

Simon posłał jej swój najczulszy uśmiech, bo rozmowa stawiała się coraz bardziej poufala.

– Oczywiście. Domyślam się, że przy tak dużych dochodach sporo pieniędzy trzyma pani w banku.

– Tak – odparła wdowa i umilkła.

– Dobrze. Ile?

– Prawie cztery miliony.

– Cztery miliony... Na jakiego rodzaju kontach?

– Na rachunku bieżącym, oszczędnościowym i na lokatach terminowych. Ale nie w tutejszym banku. Harry nie chciał tu trzymać pieniędzy. Zawsze się bał, że ktoś wścibski zobaczy nasze konta. Ludzie uwielbiają plotkować, dlatego korzystał z usług East Federal w Atlancie. To bardzo duży bank, jeden z największych.

– W Atlancie?

– Tak, mieszkaliśmy tam wiele lat. To siedziba Coca-Coli, wie pan?

– Oczywiście. – Simon nie miał pojęcia, gdzie jest siedziba Coca-Coli. Gorączkowo notował i od myśli kręciło mu się w głowie. Przewrócił kartkę i na nowej zapisał: *10 000*, a pod nią: *za stałą umowę*.

– Tak z czystej ciekawości, Netty... Komu zapisała pani swój majątek? Te wszystkie akcje i konta bankowe.

Wdowa westchnęła, jakby rozmowa na ten temat była dla niej zbyt bolesna.

– Właśnie dlatego tu przyszedłam. Ten testament mi się nie podoba. Podpisałam go kilka tygodni temu i od tamtej pory nie przespałam spokojnie ani jednej nocy.

– Kto go sporządził?

– Ten adwokat z naprzeciwka. Wally Thackerman. Zna go pan?

– Oczywiście. Znam wszystkich tutejszych adwokatów.

– I ufa mu pan? To porządny człowiek?

– Tak. Nie... Raczej tak... Jest miły, ale nie nazwałbym go moim przyjacielem. Czy mu ufam? Nie jestem pewien. Dlaczego? A pani mu ufa?

– Kiedyś ufałam, ale teraz sama już nie wiem. Chodzi o to, że nie byłam pewna, kogo uwzględnić w testamencie. Komu przekazać akcje i pieniądze.

– Hm...

– A on namówił mnie, żebym zarządzanie majątkiem powierzyła jemu. Po mojej śmierci ma sprzedać akcje, zamienić je na gotówkę i ulokować ją w jakimś funduszu

powierniczym. Nie zrozumiałam tego do końca, ale będzie miał prawo przekazywać te pieniądze moim ulubionym organizacjom charytatywnym.

– A jakie są to organizacje?

– No właśnie, nie mam żadnych.

– Żadnych?

– Żadnych. Harry nie wierzył w rozdawanie pieniędzy. Uważał, że skoro nikt mu nie pomagał, kiedy jako dziecko był biedny i głodny, to dlaczego ktoś miałby teraz oczekiwać, że on pomoże jemu? Nie powiedziałabym, że był skąpy, ale może jednak był. W każdym razie nigdy nie wyrobiliśmy w sobie nawyku rozdawania.

– A po jego śmierci, kiedy wszystko pani odziedziczyła?

– Jedna organizacja mi się podobała, a przynajmniej tak mi się wydawało. Lata temu widziałam w telewizji program o czepiakach, małpach pająkowatych w Ugandzie, i o tym, jak te małpy umierają z głodu przez jakieś chemikalia rozpylane przez rząd. Biedactwa kurczyły się i umierały setkami. Omal mi serce nie pękło, więc wysłałam tysiąc dolarów do Fundacji Czepiaki w Bostonie. Podziękowali mi, przysłali kalendarz, wciągnęli mnie do jakiejś rady i poprosili o więcej pieniędzy. Wysłałam kolejny czek, potem następny, a oni ciągle prosili o więcej. Chcieli nawet przysłać tu jakiegoś dyrektora, żeby się ze mną spotkał, zjadł ze mną lunch i tak dalej. A potem sprzedali komuś moje nazwisko i adres i moja skrzynka pocztowa zaczęła pękać od listów od ludzi ratujących wieloryby, bizona, gepardy i kanadyjskie rosomaki. Nic im nie wysłałam. Było tak źle, że musiałam zmienić adres korespondencyjny. A potem FBI zrobiło nalot na tych od czepiaków, bo okazało się, że to jedno wielkie oszustwo. Naciągali mnie na jedenaście tysięcy dolarów. Dlatego nie, nie zadaję się już z organizacjami charytatywnymi.

Simonowi udało się tego wysłuchać, chociaż jego myśli krążyły wokół tego małego spryciarza, Wally'ego Thackermana z drugiej strony ulicy. Gość sporządził testament

wdowy i przejął kontrolę nad całym jej majątkiem, co było skrajnie nieetyczne i stanowiło podstawę do odebrania prawa wykonywania zawodu. No ale czy ktoś, kto śpi na pieniądzach, takiego prawa potrzebuje?

Wdowa nie przestawała paplać.

– I odkąd podpisałam testament, ciągle się tym martwię. Bo to chyba nie w porządku, że jakiś adwokat kładzie ręce dosłownie na wszystkim, co mam, prawda?

– Muszę zobaczyć ten testament, Netty.

Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i delikatnie dotknęła nią policzków.

– Przepraszam. To takie zagmatwane. Zostawiłam cały majątek panu Thackermanowi, komuś, kogo właściwie nie znam, i naprawdę źle się z tym czuję. To nie było zbyt mądre, prawda?

Oczywiście, że nie. Było wręcz głupie. Ale ponieważ klientka była zapłakana, bezbronna i miała mnóstwo pieniędzy, Simon przybrał jeszcze cieplejszy ton głosu.

– Zajmiemy się tym, Netty. Proszę mi zaufać. To łatwo naprawić. Dobrze planowanie spadkowe wymaga czasem umieszczenia znacznej części majątku w funduszu powierniczym i często jest tak, że powiernikiem tego funduszu zostaje adwokat, który sporządził testament.

– Ach, ten prawniczy bełkot.

– Tak, przepraszam, ale cóż, prawo bywa skomplikowane. Proszę mi pokazać ten testament i zdecydujemy, co dalej.

– Dobrze.

Od natłoku myśli Simonowi wciąż wirowało w głowie. Zamknął notes i założył nasadkę na długopis.

– Jutro mam do załatwienia kilka spraw w Fairhaven, niedaleko pani domu. Spotkajmy się w tym nowym Starbucksie przy Millmont Street. Wie pani, gdzie to jest?

– Chyba tak, ale mogę przyjechać tutaj, do pana.

– Nie, nalegam. Jutro o tej samej porze, o drugiej po południu. I przejrzę pani testament.

– No dobrze.

– Jeszcze jedna sprawa, Netty, bardzo delikatna, dlatego mogę powiedzieć to tylko pani. Matilda, moja sekretarka, nie należy do najdyskretniejszych osób. Nie potrafi dochować tajemnicy i miałem już z nią problemy. A pani testament jest doskonałym materiałem na plotki.

– Ojej!

– Właśnie. Będę musiał ją zwolnić. Adwokat nie może zatrudniać plotkarki. Dlatego niech pani już z nią nie rozmawia. Jeśli będzie mnie pani potrzebowała, proszę zadzwonić na moją komórkę. – Przesunął po blacie wizytówkę.

– Ojej – powtórzyła wdowa. Udawała zaskoczoną, choć wyraźnie delectowała się tą małą intrygą.

– Wszystko będzie dobrze, proszę mi zaufać. Zawsze mogę przygotować testament sam, osobiście, i Matilda go nie zobaczy. Tak będzie najlepiej.

– Skoro pan tak mówi...

– Proszę mi zaufać. Zatem jutro o drugiej w Starbucksie.

Odprowadzając ją do recepcji, przez całą drogę mówił o pogodzie. Eleanor posłała Matildzie gniewne spojrzenie, lecz nic nie powiedziała. Simon otworzył drzwi i wyszedł z nią na chodnik. Gdy wsiadła do starego Lincolna, spojrzał na drugą stronę ulicy.

KANCELARIA ADWOKACKA WALTERA J. THACKERMANA. Oślizgły typ.

– Miła staruszka – rzuciła Matilda, gdy wrócił do środka.

– Masz kwestionariusz? Zaraz napiszę testament.

Simon przystanął i spojrzał w okno, jakby wietrzył jakieś trudności.

– Jest problem. Ta kobieta może być niezrównoważona, a nawet kompletnie świrnięta. Chyba się leczy, trzeba uważać. Poza tym nie jest pewna, co zrobić z domem, i chce się nad tym zastanowić. Tak, może być ciężko...

– Wydawała się urocza.

– Zobaczymy. Mamy dzisiaj coś jeszcze?

- Tak, bankructwo Pendergrastów.
- Cudownie.

Rozdział 2

Reszta dnia poszła na straty. Nie mógł znieść myśli, że będzie musiał siedzieć przez godzinę z Pendergrastami klócącymi się o to, kto ponosi winę za ich kłopoty finansowe. Specjalizował się w bankructwach, a te bywały gorsze niż rozwody, których organicznie nie znosił. Dlatego zadzwonił do Pendergrastów i odwołał spotkanie, wciskając im jedno z wielu standardowych kłamstewek, których adwokaci używali do lawirowania i robienia uników: powiedział, że nagle wezwano go do sądu federalnego. W rzeczywistości nikt go nigdzie nie wezwał. Najpilniejsze akta na jego biurku dotyczyły kupna i sprzedaży lodziarni mieszczącej się przy jego ulicy, transakcji wartej dwadzieścia tysięcy dolarów, na której mógł zarobić najwyżej tysiąc.

Nagle każda sprawa wydała mu się błaha. Z jego kancelarii wyszła właśnie starsza klientka z szesnastoma milionami dolarów w akcjach i kilkoma milionami w banku. Zgodnie z jej aktualnym testamentem cały jej majątek przypadła Thackermanowi, temu podrzędnemu adwokacinie o szczerzej gębie. Simon nie mógł myśleć o niczym innym. Matilda pożegnała się z nim punktualnie o piątej, a on dziesięć minut później wyszedł i pojechał do motelowego baru przy autostradzie. Lubili tam zaglądać adwokaci i sędziowie, którzy nie chcieli, by ktoś zobaczył, że piją za dużo w mieście, choć byli wśród nich tacy, co chlali otwarcie i do upadłego. Na

szczęście żadnego z nich tam nie wypatrzył, więc powoli pił piwo w ciemnym kącie sali, próbując uporządkować myśli.

Wszystko po kolei. Najpierw musi zobaczyć testament, żeby sprawdzić, czy jego droga Eleanor mówiła prawdę. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że adwokat – że jakikolwiek prawnik – mógł być na tyle bezczelny, by wpisać siebie do testamentu i uzyskać nieograniczony dostęp do czyjejś fortuny. Ale skoro on sam, mecenas Simon Latch, rozważał podobny krok, najwyraźniej było to możliwe. Wiedział, że po śmierci Eleanor wybuchnie potężna awantura sądowa, taka z latającymi na wszystkie strony pozwami, ale wiedział też, że zwycięsko wyjdzie z niej tylko powiernik wskazany w aktualnym testamencie, niejaki Wally Thackerman.

Oczywiście nie będzie to dwadzieścia milionów dolarów. Kiedy sprawdzał to ostatni raz, stanowe i federalne podatki spadkowe sięgały czterdziestu procent, choć niemal w całości można je było obejść dzięki powiernictwu małżeńskiemu. Ale ponieważ Eleanor nie miała męża, jej majątek trafiłby na rzeźnicki pień, na którym urząd skarbowy skutecznie by go poćwiartował. Co najmniej osiem milionów dolarów poszłoby z dymem. Simon skrzywił się na myśl, że rząd zgarnąłby aż tyle.

Ale pozostałe dwanaście milionów wciąż było kwotą, jakiej nie zarobiłby przez trzydzieści lat pracy na rogu Main i Maple Street. Nagle przypomniało mu się coś, o czym czytał w gazecie. Kongres kombinował coś przy stawkach podatkowych przed grudniową przerwą. Nie pamiętał szczegółów i zwykle śledził takie sprawy tylko jednym okiem, bo jego klienci nigdy nie przejmowali się podatkami od darowizn i spadków.

Zadzwoił do Dirka, kumpla ze studiów, który pracował w prestiżowej kancelarii podatkowej w Waszyngtonie, godzinę drogi od Braxton, i po wstępnej pogawędce o niczym przeszedł do rzeczy. Wtedy Dirk roześmiał się i wykrzyknął:

– No coś ty! Nie słyszałeś wielkiej nowiny?

- Chyba nie.
- Kongres zakończył obrady, nie uchylając poprawki.

Simon nie był pewien, co to znaczy, więc milczał. Dirk i tak lubił gadać.

– Ci pajace dali dupy, projekt podatku spadkowego przepadł. Nie dogadali się i po prostu go nie będzie, chwytasz? Żadnego, nul, zero, nic, i to przez cały rok, a ponieważ większość stanów zawsze idzie w ślady federalnych, starcy i starszuszki mają teraz idealny moment na zgon. Dlatego powiedz swoim dziadkom i babciom, żeby ogarnęli swoje doczesne sprawy i szybko poszli do piachu. Niech zabawią się porządnie w Boże Narodzenie, a potem *adios*. Ich dzieci i wnuki będą im wdzięczne aż po grób.

– Tak, też o tym słyszałem. Fakt, dali ciała.

– W dzisiejszych czasach to nagminne.

Kiedy rozmowa zaczęła niebezpiecznie zahaczać o politykę, Simon zmienił temat i zapytał o kolegę ze studiów, który walczył z rakiem. Ponieważ obaj byli bardzo zapracowani, udało im się zakończyć obietnicą, że wkrótce się spotkają.

A więc jednak całe dwadzieścia milionów! Zamówił drugie piwo i długo myślał o rozmowie z kolegą. Po powrocie do kancelarii zamierzał poszperać trochę w internecie i dowiedzieć się, dlaczego Kongres dopuścił do tego, że przepisy o podatku od spadków i darowizn przestały nagle obowiązywać. Ba! Jakby ktoś mógł zrozumieć to, co się dzieje w Kongresie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).